



**KRYSTYNA  
KOPTA**

**KRYSTYNA**

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).**

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).

**FAUSTA**

**Krystyna Kofta** ukończyła filologię polską na UAM w Poznaniu. Jest autorką powieści: *Wizjer* (1978), *Wióry* (1980, wydanie zmienione W.A.B. 2006), *Pawilon małych drapieżców* (1988), *Złodziejka pamięci* (W.A.B. 1998), *Chwała czarownicom* (2002), *Krótką historia Iwony Tramp* (W.A.B. 2001), jak również scenariuszy filmowych, książek publicystycznych i dramatów. Za słuchowisko radiowe *Stare więdźmy* otrzymała Grand Prix na Festiwalu „Dwa Teatry” 2007. W tym samym roku we Frankfurcie nad Odrą odbyła się premiera jej sztuki *Salon profesora Mefisto*. Sztuka *Pepowina* została wystawiona przez teatr z Glasgow i znalazła się w programie tamtejszego festiwalu teatralnego. W 2003 roku nakładem W.A.B. ukazała się najbardziej osobista z książek pisarki: *Lewa, wspomnienie prawej. Z dziennika*. W 2006 W.A.B. wydało jej *Monografię grzechów. Z dziennika 1978–1989*. Jako felietonistka Kofta współpracuje z czasopismami „Twój Styl” i „Nowe Książki”. Maluje, rysuje.

**KRYSTYNA  
KOFTA**

**FAUSTA**

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2010  
Wydanie I  
Warszawa 2010

# ZMROK

Dwudziestego czwartego maja tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku pani Helena Lejmanowa, matka Fausty, trudnej czternastolatki, włożyła czarną suknię, pamiętając lepsze czasy i szczuplejszą figurę właścicielki. Przecierała szklanki i kieliszki płócienną serwetą. Wciąż zerkąca na mały, ozdobny zegarek. Czekąca na kogoś. Od dawna nie wyglądała tak porządnie. Także pokój był dziś wysprzątnany, może nie we wszystkich kątach, jednak okna były przysłonięte na tyle, że nie było widać brudu na ścianach.

Lekko zaskrzypiała drewniana podłoga na klatce schodowej.

– Och, panie Filipie, jakiż pan punktualny, na pana można zawsze liczyć – wołała Helena od drzwi. – Mało jest dziś takich rzetelnych ludzi jak pan!

Mężczyzna był wysoki i szczupły, a prawdę mówiąc, wręcz kościsty. Okulary w cienkiej złotej oprawce mocno siedziały na wydatnym nosie. Wyglądał na dyrektora dużego przedsiębiorstwa, może nawet zjednoczenia. Miał na sobie szary garnitur, białą koszulę i niebieski krawat.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu Helena była umyta, uczesana i porządnie ubrana. Wyglądała solidnie. Siedli przy stole nakrytym białym haftowanym obrusem.

Po wymianie kilku zdań na temat pogody, nieprzewidywalnej jak to zwykle wiosną bywa, przystąpili do załatwiania interesu. Pan Filip Fołtynowicz podał Helenie krótki, napisany na maszynie tekst. Wzięła kartkę, skuliła się i przygarbiła pod uważnym spojrzeniem mężczyzny, a może pod jakimś innym, niewidzialnym ciężarem. Czytała po cichu, poruszając ustami. Z uwagą, posłusznie jak uczennica sylabizowała słowo po słowie. Gdy skończyła, podał jej eleganckie wieczne pióro, zatknięte za kieszonkę marynarki pozłacanym dziobem pelikana, i wskazał zaznaczone ptaszkiem miejsca.

– Proszę jeszcze postawić parafę u dołu strony, o tutaj, a tu proszę wpisać drukowanymi literami imię i nazwisko, żeby nie było wątpliwości...

Zawahała się. Zastygła z piórem w dłoni.

– Zdarzają się pomyłki, a to nie jest dobre, zwłaszcza przy rozliczeniach – mówił pan Filip.

Ręka Heleny Lejmanowej opadła na kartkę. Kobieta pochyliła się i zrobiła wszystko, o co prosił. Litera były mocno rozchwiane. Przejrzysty powód ich rozdygotania znajdował się w karafce i dwóch kieliszkach. Ten przy Helenie był całkowicie opróżniony, przy Filipie pozostał nietknięty.

Stół nakryty białym obrusem, na którym wiły się wyhaftowane starannie stokrotki i wyblakłe po praniach niezapominajki, robił schludne wrażenie. Reszta mebli pozostała w cieniu. Mimo że zapada zmierzch, nikt nie zapala światła. Słońce zaszło, na dworze zrobiło się szaro, zaczęło mżyć. W pokoju panuje półmrok.



– Choć jeden łyżeczek, panie Filipie, proszę, na dobry początek – namawia Filipa Helena Lejmanowa, przymila się, by nalać sobie po sam brzeg.

– Nie mogę, prowadzę – odpowiada mężczyzna, jednak bierze kieliszek, unosi go do ust, macza wargi, ucieka z oczami przed jej wzrokiem. – No dobrze, symbolicznie. – Jeszcze raz przykłada usta do szklanego brzegu, ale nie widać, by wódki ubyło.

– Za szczęście naszej kochanej małej! – Helena wypija do dna.

– Ubieraj się, córeńko – woła słodkim głosem, odchylając kotarę, za którą mieści się wnęką z łóżkiem, stoi w niej mały stolik, jedno krzesło, szafka i regał z książkami.

– Pośpiesz się, pan Filip już czeka!

Helena jeszcze raz czyta to niby urzędowe pismo, jakby nie mogła się z nim rozstać, ponownie sprawdza wszystko, wodzi palcem po każdej linijce tekstu. Wreszcie podaje kwit czekającemu w napięciu mężczyźnie. On przelatuje treść pisma na ukos, samymi oczami. Składa je na pół i chowa w wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyjmuje stamtąd urzędową szarą kopertę i podaje Helenie. Ta zagląda do środka. Jej oczy lśnią przez chwilę czystym blaskiem, teraz widać, jakie są piękne. Helena Lejmanowa ślini palec i tak jak karciany oszust tasuje karty, tak ona wprawnie liczy banknoty. Jest zadowolona. Skłania głowę z wdzięcznym uśmiechem. Wkłada kopertę głęboko za dekolt czarnej sukni. Żegnają się, pan Filip całuje ją dwa razy w rękę, zerkając znad okularów w zamazane alkoholem oczy.

Brukowana ulica, przy której mieści się dom, na chwilę zamienia się w dworcowy peron, z którego Fausta, trudna dziewczynka, z rozpuszczonymi ciemnymi włosami niespotykanej długości, właściwie jeszcze dziecko, choć na swój wiek dość wysoka, udaje się w podróż. Pożegnanie nie jest rozdzierające. Pan Filip bierze z rąk dziewczynki podniszczoną walizkę. Zapakowała do niej trochę bielizny, dwie sukienki, aparat fotograficzny, urodzinowy prezent od ojca, i kilka ulubionych książek. Matka powiedziała, żeby nie zabierała więcej rzeczy do ubrania, bo dostanie wszystko nowe. Pan Filip obiecał, że nie zabraknie jej ptasiego mleka.

Filip Fołtynowicz chwyta Faustę za rękę i prowadzi do stojącego przy krawężniku samochodu. Okna w kamienicy są otwarte, ktoś gwizdże jak szpak, ktoś inny w tym czasie przeklina kurewski los i chlusta w dół wiadrem pomij. Taka ulica, w takiej dzielnicy.

– Idź i nie oglądaj się za siebie, idziesz do lepszego życia – szepnęła do córki stojąca w drzwiach Helena i pożegnała ją znakiem krzyża.

# ŚWIT

Świta. To już nie brzask, to świt przechodzący miękko w światło poranka. Światło, świt i świat, blisko siebie. Pierwsza scena w teatrze dnia, mdłe światło świtu wydobywa, z wygaszonej dotąd sceny, miejsca dwojga bliskich sobie ludzi, sypialnię, w której zwykle się śpi, a czasem leży bezsennie. Pierwsze słońce ledwo się przedziera przez grubo tkane zasłony, tworzące kurtynę z ciemnoczerwonej bawełny, założone specjalnie, żeby jasność poranka nie budziła śpiących zbyt wcześnie. Szczelne ramy okien cedzą dźwięki, powodują, że panuje tu prawie cisza.

Konrad śpi mocno, jego siwe włosy nabierają czerwonego odcienia. Zamknięta snem twarz jest tajemnicą. Nie wiadomo, w jakim nastroju się obudzi. Niech śpi, niech dojdzie do granic snu. Im dłużej jesteśmy razem, im bliżej nieznaney, kiwającej na nas palcem ciemnej postaci, tym czulej. Chcę pogłaskać go po sztywnych włosach, po krótko ostrzyżonym rżysku. Moja ręka, nawet gdy delikatnie dotknie jego głowy, zbudzi go. Cofam dłoń. Współczuję Fauście, że nigdy nie była blisko z Filipem.

Nie było w niej ani miłości, ani też nienawiści, tylko wdzięczność. Może nawet miała dla niego więcej szacunku, niż my z Konradem mamy dla siebie, zwłaszcza w starciach, potyczkach i wojnach, ale to nie to samo.

Czułość późnej miłości podszyta jest lękiem. To nasz stały towarzysz, wcześniej tylko znajomy, nigdy przyjaciel. Raczej natręt, ciągle odpychany, nielubiany. Nie zabieramy go ze sobą na towarzyskie spotkania pełne śmiechu, gdy z kieliszkiem w ręku wznosi się toasty, opowiada dowcipy; Pan Lęk powinien wiernie czekać na nas w domu, lecz nie zawsze jest karnym psem śpiącym na swej poduszce, gdy państwo wychodzą. Bywa, że towarzyszy nam w drodze, a potem bezczelny wciska się za nami do mieszkania przyjaciół, przycupnie gdzieś w kącie i obserwuje nas z uwagą. Moment milczenia, bo znów zabrakło kogoś przy stole, w zeszłym tygodniu wykryto u niego guz mózgu.

– Szczęście w nieszczęściu, że miał znajomego lekarza, dlatego od razu poszedł pod nóż – opowiada ktoś poinformowany. – Teraz leży tam, słaby po operacji, nawet nie mógłby wzniesić toastu, nie wiadomo, czy będzie kiedykolwiek mógł.

Cicha narracja objaśnia to, co się wydarzyło. Wtedy Pan Lęk podpełza i łapie mnie za nogi.

– Coraz częściej będziemy o czymś takim słyszeli – mówi gospodyni przyjęcia, usiłuje oprzeć się własnemu lękowi, macha ręką, rozlewa wino. – Trudno, nic na to nie poradzimy, trzeba żyć dalej. – Posypuje płamę solą, zna sposoby na wszystko, może nawet na zatamowanie lęku płynącego żyłami wraz z krwią.

– Zdrowie!

Pijemy więcej, niż powinniśmy, zapominamy o sercu, nadciśnieniu, a ja kopię boleśnie leżącego pod stołem: won stąd, odczep się, namolny lęku, daj pożyć!

Zazdroścę Fauście, że się o Filipa nie boi. Nie, nie zazdroścę, choć wiem, że samotność i brak bliskości to ratunek przed Panem Lękiem. Strach o najbliższych jest większy niż ten o sobie. Fausta nie wie, co to bliskość, choć ma dzieci. Lęk pamiętała tylko z dzieciństwa, gdy ojciec, którego kochała, porzucił ją. Odszedł, jak się wyraziła, na własne życzenie.

W złamanej nikłym blaskiem ciemności obce kształty powstają z dobrze znanych mebli. Krzesło przestało być krzesłem, wstało leniwie, jego oparcie się wydłużyło. Chudziutka postać, mnich w habicie z kapturem, powstaje z krzesła, mogę przysiąc, że przesuwa się powoli w kierunku drzwi, cień tej zjawy idzie w moim kierunku, cofa się nagle, bo Konrad zaczął się budzić. Nie, nie obudził się jeszcze, przewraca się tylko na drugi bok i śpi dalej. Zmora zniknęła, rozproszyła się w świetle poranka.

Gdy byłam mała, światło wiązało się ściśle ze światem. Świat był jasny, było widno. Ciemności się nie znało. Znało się wtedy dzień, słońce, pochmurne niebo, które przecież bywało jasne. Nie pamiętam granatu nieba, bo matka chroniła mnie przed ciemnością, także tą, która zapadała nagle, w środku dnia, podczas burzy. Gdy nadchodziły burzowe chmury, nie wychodziła ze mną na spacer, nie pozwalała biegać po podwórku. Raj zaczynał się dopiero, gdy burza minęła, w pachnącym ozonem powietrzu ścigaliśmy się bosy; latanie na bosaka uchodziło wówczas za zdrowe. Poburzone słońce nie żałowało ciepła i światła, hojnie prześwietlało deszczowe krople wiążące na krzakach żywopłotu, trawie i na stokrotkach.

Nie został najmniejszy korzonek kwiatka czy trawy, podwórko zabetonowano żywcem, nie ma śladu życia.

Gdy nadchodził zmierzch, matka zapalała światła w domu, zasłoniwszy okna grubymi kotarami. Oddzielała jasność od ciemności jak bóg. Światłość nazwał bóg dniem, a ciemność nazwał nocą. I stał się wieczór, i stał się zaranek, dzień pierwszy. Sztuczne światło jest niezgodne z boskim porządkiem. Nie po to przecież bóg oddzielił jasność od ciemności, żeby jakaś parafianka Aniela Wegner, mieszkająca pod dziesiątką, w mieszkaniu numer pięć, wejście od podwórza, wprowadzała chaos, robiąc z nocy dzień. Pomyśleć, że osoba tak wielkiej pobożności mogła sprzeciwiać się bogu tylko dlatego, że wszyscy tak robili, nikt nie uważał, że zapalając światło, grzeszy. Z pewnością nigdy o tym nie pomyślała. Chociaż bóg miał trochę litości, w nocy zapalał latarnię księżycyca i sporo małych gwiazdnych lampek. Starczało światła, by dotrzeć do domu. Ludzie jednak, ponieważ chcieli wydłużyć sobie godziny życia, wymyślili światło, kpiąc z tych, co chodzą spać z kurami. Przyjmują z boskich zaleceń to, co im odpowiada, odrzucają, co niewygodne. Mieszają boga do wszystkiego, dodają go jak przyprawę do zupy. Matka była prawą kobietą, ponieważ jednak urodziła się w świecie nie tylko słońca, gwiazd i księżycyca, ale i żarówek, nie zastanawiała się nad tym, co bóg rozdzielił. Wiedziała, że nie wolno rozłączyć tego, co bóg złączył, lecz to dotyczyło dwóch dłoni, jej i męża, związanych stułą przed ołtarzem.

Rozwód nie wchodził w grę, bo był grzechem przeciwko bogu, a zapalenie światła było całkiem naturalne.

Dzieci urodzone jak ja w noc wojenną mogły stać się dziećmi lęku. O małym strachliwym ludziku mówiono: bojączka. Często w nocnej ciszy nasłuchiwałam odgłosów walk, jakie przyniosłam ze sobą na świat, dalekie wybuchy, bliskie strzały. Mimo że nikt ich nie słyszał, ja wstawałam z łóżka, jak mała lunatyczka w barchanowej koszuli podchodziłam do okna, by sprawdzić, co się dzieje. Co się ma zdarzyć, to się zdarzy, mówił ojciec, i święty boże nie pomoże. Cóż bóg, myślałam, coż może bóg, jest taki słaby, że nie może nam pomóc. Tak więc, boże, jesteś bogiem pisanym małą literą, myślę dziś.

Ciemności przede mną ukrywano, zaciągano gęste zasłony, ciemne kurtyny, matka zapalała światło i robiło się jasno. Właśnie dlatego nie znałam boskiej nocy. Zasyślałam przy małej lampce z mikroskopijnym abażurem z grubego nawoskowanego papieru. Matka zrobiła abażur, a ojciec przygotował marmurową podstawkę i nóżkę z mosiądzu, wyłączało się ją, ciągnąc za jedwabny sznur w kolorze gryczanego miodu, dopasowany do abażurka w barwie jaśniejszego miodowego wielokwiatu. Ta lampka stoi w garażu. Stoi tam to cacko, ocalałe, zrodzone z miłości rodzicielskiej dzieło sztuki, stoi jak pierwszy lepszy rupieć pomiędzy starymi gratami.

Zasyślałam zawsze w kręgu światła. Poza kręgiem miodowego blasku znajdowały się dobrze znane sprzęty, miałam je w pamięci, nie bałam się ich.

Mimo że oszczędzano prąd, był przecież drogi, niektórym małym bojączkom, takim jak ja, zostawiano światło na całą noc, aż do brzasku. Ciemność to krzyk strachu dziecka, przebudzonego nagle w ciemnym pokoju. Byłam dzieckiem światła, światło było całym moim światem, w którym żyłam tajemniczym, niepamiętanym dziś życiem.

Fausta była dzieckiem ciemności. Często budziła się w nocy, miała jak na dziecko zbyt lekki sen. Jej ojciec Ludwik Lejman na trzeźwo w ogóle nie mógł zasnąć. Zasnął dopiero wówczas, gdy się zdrowo napił. Wtedy spał snem kamiennym. Miał koszmary związane z wojną i ciągłym zagrożeniem. Nawet gdy zasypiał mocno, budził się z krzykiem. Cierpiał na genetyczny lęk przed pogromem. Mała Fausta nie miała o tym wówczas zielonego pojęcia. Gdy odeszła siostra Fausty, Kamila, było jeszcze gorzej. Po śmierci ukochanej córeczki fobie Ludwika Lejmana nasiliły się. Krzyczał przez sen codziennie, budząc Faustę. Otwierała oczy w ciemności, a jej serce trzepotało małymi skrzydłami. Bała się, że zacznie się coś, co zdarzyło się wiele lat temu, podczas wojny, że grozi im znów niebezpieczeństwo, którego przecież nie pamiętała własną pamięcią. Nasłuchiwała, czy nikt nie wali do drzwi. Jednak na zewnątrz panował spokój. Ojciec uspokajał się. Oddychał równo i drzemał. Każdej nocy krzyk się powtarzał. Matka nie budziła się, spała mocnym, twardym snem. Mała Fausta, przebudzona, zaczynała rozmyślać o swojej przyszłości, o tym, co się wydarzy, gdy ojedzie z domu rodzinnego, razem z tatą, matką



zostawią i wyjadą gdzieś daleko. O tym, że odejdzie na zawsze, była przekonana już jako kilkulatka. Chciała być bezpieczna, nie bać się, jak stale bał się ojciec. Strach wydał jej się najgorszą udręką. Ćwiczyła się w odwadze, by pozbyć się lęków raz na zawsze. Nie chciała krzyknąć przez sen jak tata ani zniknąć nagle jak Kamilka, słoneczko tatusia, które zaszło przed czasem. Życie w pobliżu słoneczka było dla niej udręką. Nie miała sobie nic do zarzucenia. Winna była głównie matka, choć ojciec także przyłożył rękę do tego, co się stało. Nie zwracał uwagi na Faustę, gdy Kamilka była w pobliżu. Nigdy się z tego nie tłumaczył.

Dobrze rozumiem Kaina – powiedziała Fausta, gdy oswoiłyśmy się ze sobą.

– Wejrzał Pan na Abła i na ofiarę jego, ale na Kaina i na ofiarę jego nie wejrzał; i rozgniewał się Kain bardzo, i spadła twarz jego. I rozmawiał Kain z Ablem bratem swoim. I stało się, gdy byli na polu, że powstał Kain na Abła brata swego. I zabił go – wyrecytowała z pamięci.

– Najgłupszy terapeuta wie, że nie wolno rodzicom wyróżniać jednego dziecka kosztem drugiego, nie uważasz? – spytałam.

– Ktoś musiał coś przekręcić, źle zapisał w księdze, nikt nie miał kontroli nad tym, co piszą – mówiła, broniąc boga.

Wszyscy dziwili się, że były siostrami z jednego ojca i jednej matki. Kamila różowa, z wijącymi się wokół twarzy

włosami koloru pszenicy w słońcu, była przylepna, żądna pieszczot, szczera, otwarta. Ledwo odrosła od ziemi, a już była małą kobietą z sercem na dłoni. Fausta, o dwa lata starsza od siostry, ciemnowłosa i śniada, miała cienką, napiętą skórę. Dość spiczasty podbródek, wypukłe czoło, prosty nos; ciemne oczy przysłonięte ciężkimi powiekami małej madonny. Lekkie, ptasie kości, powleczone nikłą warstwą ciała, powodowały, że była zwinna i szybka jak zwierzę. Potrafiła siedzieć długo w namaszczonym spokoju, z przymkniętymi oczami. Planowała przyszłe wydarzenia zaskakująco dokładnie.

Potem siedząc przy wyszorowanym do białości stole, opisywała w zeszycie sobie tylko wiadomym alfabetem to, co się miało wydarzyć. Były w tej grafice słońca, księżyce, ptaki, ludziki, linie proste i łamane, kwiaty, drzewa bez liści, wieże pałacowe i kościelne. Chowała zeszyt pod poduszkę, chroniła go przed rodzicami i przed Kamilą, która nie miała żadnej tajemnicy, ciągle pytała: a co to? A co to jest? A Fausta odpowiadała zawsze niegrzecznie: gównu, gównu! Co cię to obchodzi, sama narysuj sobie swój los! Tak właśnie mówiła: swój los. Zapytała kiedyś ojca, gdy była zupełnie mała, co oznacza los, a on powiedział, że są to nieznane koleje życia, bo nikt nie jest w stanie przewidzieć, co go spotka.

– Dlaczego? – spytała.

– Bo to jest tajemnica życia, wiesz, jak to jest, układasz klocki, budujesz z nich miasto, zamki, wysokie domy, a wystarczy, że potrącisz, i wszystko się wali, to jest właśnie los, dotyka każdego, ludzi i przedmioty.

– Ja nigdy nie potrącam klocków, jak się znudzę, rozbieram miasto, a klocki układam w kartonie, mój los jest dobrze ułożony – powiedziała Fausta.

– Obyś miała rację, córeczko, obyś miała rację – powiedział tata. – Bo widzisz, nie zawsze będzie zależało to od ciebie, zdarza się, że ktoś niegrzeczny kopnie w twoje klocki.

– W moje klocki kopnie? Dlaczego?

– Bo jest niedobrym człowiekiem albo jeszcze gorzej, niedobrym bogiem.

– Bóg jest dobry.

– No to diabeł to zrobi, człowiek powinien być przygotowany, że nie wszystko się układa, ale wierzę, że twój los będzie lepszy niż mój.

Często słyszała ojca i matkę gadających o losie, o parszywym losie, okrutnym losie, o przeszkodach nie do przezwyciężenia. Ojciec, znacznie starszy od matki, wiedział o tym, co w czasie wojny robili Niemcy. Po wojnie bolszewicy dołożyli swoje trzy grosze, mówił ojciec, przynajmniej nie kłamał, miał jej kiedyś, gdy dorośnie, opowiedzieć więcej. Mimo parszywego losu rodzice jednak żyli, kłócili się, śmiali, jedli, wspólnie narzekali na nędzę, chodzili do kościoła i na spacer. Tata pracował w hucie stali jako inżynier, więc los nie był znów taki zły! Przynajmniej wiadomo było, że nawet z najgorszego można ocaleć.

Na wszelki wypadek postanowiła jednak zapanaować nad swym losem. Wierzyła w siłę ducha, chociaż jako dziecko tak tego nie określała. Mała dziewczynka

potrafiła skupić się, wyłączyć z codzienności jak pustelnik w eremie. Łapiąc tęczę na rzęsy, odczytywała przyszłość. Potem porzucała los i zamieniała się w żywe srebro, jak mówił tata, nagle wyrывała się z bezruchu i zaczynała biegać po pokojach, podskakując i śpiewając piosenki z własnymi słowami. Nieprzewidywalna w zachowaniu, nieznośna, często robiła coś na przekór rodzicom, a zwłaszcza siostrze.

Matka i ojciec twierdzili, że jest małą wariatką i nie wiadomo, co z niej wyrośnie. Była z natury dzieckiem walczącym. O miłość matki i siostry nie walczyła. Na ich uczuciach jej nie zależało. Zazdrosna była tylko o miłość ojca. Wściekała się, gdy widziała, że nie jest w stanie wygrać z siostrą.

Kamila miała różowe tłuste ciało, twarz pełną blasku nawet w pochmurny dzień. Wijące się dookoła głowy złote włosy sprawiały, że przypominała słońce. Słoneczko tatusia! Spełniał jej najgłupsze prośby. Wystarczyło, że podbiegła do niego, przytuliła swoje ciało do jego nogi, i miała, co chciała. Dla matki także była „słonkiem”. Była posłuszna, otwarcie mówiła, co myśli, wyznawała im miłość, wciąż domagała się pieśszczot, lubiła, gdy ją całowano, głaskano po złotych włosach.

Siostry różniły się jak księżyc i słońce.

Fausta sądziła, że jest podobna do ojca, choć nikt inny tego nie zauważał. Ludzie zastanawiali się, skąd wzięło się to dziecko, które nie ma nic z ojca i nic z matki. Ojciec robił się wtedy zły, matka wzruszała ramionami. Przez pewien, dość krótki okres, gdy Fausta była jeszcze

mała i słuchała bajek, które ojciec czytał jej przed zaśnięciem, uważała, że prawdziwa matka, pochodząca z królewskiego rodu, podrzuciła ją pod drzwi. Wkrótce jednak te myśli uznała za głupie. Wróciła do przekonania, że ma po ojcu księżycowy profil, oczywiście jako mężczyzna miał bardziej wydatny nos i mocniej wysunięty podbródek. Gdyby Fausta była chłopcem, to co innego, mogłaby tak wyglądać, ostatecznie chłopiec mógł być pozbawiony miękkości, ale mała dziewczynka powinna mieć wdzięk, mówiła matka. Wkrótce Fausta doszła do wniosku, że najbardziej podobna jest do babki ze strony ojca, Ruty Lejmanowej, prawdziwej damy, która „poszła z dymem” jak większa część rodziny.

Kamila irytowała Faustę swą urodą, narzucającą się stale, bo wciąż była obok, słońko, złote ciało kłuło w oczy, krew z krwi matki, jasnowłosej piękności o figurze wciętej w pasie jak klepsydra, nazywanej w dzielnicy piękną Heleną Lejmanową. Kamila chciała być jak mamusia, dążyła do tego ideału, na razie nie miała jeszcze wcięcia w pasie, ale to kwestia czasu. Ciało się odpowiednio ukształtuje i za kilka, kilkanaście lat będzie mogła wybierać mężczyzn, jakich tylko będzie chciała, na razie słońko było na etapie córeczki marzącej o małżeństwie z tatusiem. Matka często zachwycała się urodą Kamilki. O Fauście rodzice mówili półgłosem, że to brzydkie kaczątko, może kiedyś, z czasem wyładnieje.

Siostry siedziały przy kuchennym stole, zakrytym grubo gazetami, żeby nie pobrudzić blatu, i malowały laurki dla taty. Na grubym kartonie Kamili narysowana

była sylwetka taty. Poprosiła o to matkę, która, jak się mówiło, miała zdolności artystyczne. Kamila wypełniała radosnymi kolorami strój ojca, jakiego nigdy nie nosił. Zielona marynarka, czerwone spodnie, krawat w pasy, wszędzie dookoła w powietrzu wisiały kwiaty i zielone liście, był także ptak z listem w dziobie. A obok taty stała ona sama, Kamilka – słońce, w żółtej sukience z okrągłą słoneczną twarzą, z żółtymi promieniami włosów. Trzymali się za ręce. Nikogo innego obok nie było, ani pięknej Heleny, ani Fausty.

– Pięknie, Kamilko, śliczna laurka – zachwycała się matka.

– Kura przynosi list? – pytała Fausta.

– To jest gołąbek, przecież widać! Gołąbek, gołąbek! – krzyczała Kamila.

– Kura, kura, a właśnie że kura! – wołała Fausta. – Daje tacie zgniłe jajo w prezencie!

– Gołąbek przynosi list, a w nim wiersz! Napiszę wiersz dla taty! Zazdrościsz, bo sama nie umiesz ładnie rysować, nie kochasz taty, a tata ciebie nie kocha! Kocha mnie! I mamusię!

– Nie umiesz pisać wierszy, wcale nie umiesz, ja umiem i napiszę zaraz wiersz o głupiej Kamili, co się ślini, królowna z drewna! Jak jeszcze raz powiesz, że tata mnie nie kocha, zabiję cię!

Fausta wzięła pędzel, zamoczyła go w czarnej farbie i przejechała na ukos po laurce siostry. Wyglądało to jak żałobna wstęga na portrecie zmarłego dostojnika. Była wściekła jak ktoś, o kim mówił tata, kto przychodzi

i burzy świat. Kamilka na to zasłużyła, mówiła, że tata nie kocha Fausty, jest winna, poniosła karę. Rozległ się najpierw krzyk, a potem rozpaczliwy płacz. Wpadła matka, zobaczyła, co się święci, zaczęła wrzeszczeć na Faustę, potrząsała jej chudymi ramionami, aż duża głowa dziewczynki zaczęła latać na wszystkie strony. Piękna Helena nie mogła znieść jej histerycznego śmiechu i powtarzanych w kółko słów: piękna laurka dla taty, piękna laur..., więc uderzyła ją mocno na odlew, raz z jednej i zaraz z drugiej strony, ale nawet wtedy jej policzki nie nabrały rumieńców. Fausta zaczęła wierzgać, kopać matkę po nogach, ugryzła ją w rękę za wymierzone policzki, wreszcie z niespotykaną siłą walnęła w stół, przechyliła go, aż rozlała się woda i zalała wszystko. Matka musiała szybko sprzątnąć. Nie minęło pięć minut, i wszystko wróciło do normy. Znowu obie siedziały przy stole przykrytym gazetami, przed każdą z nich leżał nowy karton, stał kubek z wodą, leżały pędzle i farby.

– Tatus ma urodziny! Macie namalować laurkę! Czy naprawdę nie możesz być grzeczna – powiedziała matka karcąco, stojąc w drzwiach.

– Dlaczego nie spojrzałaś na moją laurkę? W ogóle na nią nie popatrzyłaś – spytała Fausta. – Dlaczego?

– Bo malujesz potwórki zamiast kwiatków i kolorowych ptaszków – powiedziała matka. – Weź wzór z Kamilki, ona nie namalowała ptaszyska.

Rzeczywiście, na białym kartonie Fausty znowu rozpostarł skrzydła czarny ptak. Trzymał w dziobie za nogę mniejszego ptaka, ten jeszcze mniejszego i jak ptasi

łańcuch ciągnął się aż do samego dołu. Na tęczowym łuku widniał napis „Dla Kochanego Tatusia” wycięty z liter z gazety. Matka spojrzała z góry na laurkę Fausty i roześmiała się.

– Fantazji nie można ci odmówić – powiedziała niby do siebie, ale na tyle głośno, że dziewczynka usłyszała. Jej twarz rozjaśniła się nagle. Osiągnęła sukces, miała fantazję większą niż Słonko Tatusia, napaćkała lazurowym błękitem niebo, a czarnym ptakom domalowała złote i błękitne pióra.

– Tacie to się nie spodoba! To są czarne wrony! Kra, kra, kra! – Teraz Kamila zaczęła dokuczać Fauście.

Nie mogła znieść tego, że matka pochwaliła siostrę. To Małe Słoneczko Tatusia miało w sobie wiele złości. Nie przestawała krakać, biegała w kółko po pokoju, machając rękami jak skrzydłami. Fausta wstała. Rozpostarła ramiona, jakby chciała złapać siostrę i ją przytulić. Gdy jednak Kamila zderzyła się z nią, odepchnęła ją tak mocno, że mała zatoczyła się i upadła. Wiele razy biły się i przewracali, raz jedna, raz druga, tym razem jednak Kamilka, upadając, uderzyła głową o kant stołu. Upadła tak nieszcześnie, że straciła przytomność. I nigdy już jej nie odzyskała.

Po odejściu Kamilki Fausta ciągle się czegoś bała, więc rodzice przenieśli jej łóżko do swojej sypialni. Noc i ciemność przynosiły ze sobą ich tajemnicze odgłosy. Łóżkową miłość matki i ojca poznała za wcześnie, by zrozumieć, że mimo jęków, rzęzenia i krzyków może być piękna. Brzydziła się dźwiękami, jakie wydawali, wielkim potworem



kołtującym się pod kołdrą, powstałym z dwóch ciał. Została sama z ich tajemnicą.

Z jakichś powodów Fausta uważała, że udany seks nie istnieje. Pewnego wieczoru po wspaniałym koncercie kameeralnym poszłam z Faustą do klubu. Przy drinku zaczęłam rozmowę o seksie. Mówiłam o namiętności, potem o czułości, o fazach, łagodnych zmianach ewolucyjnych, o tym, że dobry seks może ludziom towarzyszyć do późna.

– Konrad ma z tego dużo więcej niż ty, to pewne – powiedziała.

– Skąd wiesz?

– Przeczuwam. Wiem, jak to jest, czasem ofiara nie ma wyjścia, musi pokochać oprawcę. Łóżko to po ślubie żelazny obowiązek kobiety. Żeby czuć się dobrze we własnej skórze, trzeba seks polubić.

Zaskoczyła mnie. Nie wiem, czy to, co mówiła, dotyczyło jej samej, czy też naczytała się modnych książek.

– Miłość z mężem jest obowiązkiem, odmowa grzechem – wyklepała mechanicznie, jak ksiądz na kazaniu.

– Ja nie mam ślubu kościelnego – roześmiałam się. – Nie muszę być posłuszna boskim rozkazom. – Współczułam jej. Rozumiałam, co może odczuwać. Nasze twarze, pochylone nad kieliszkami, zbliżyły się do siebie. Ona pozwoli sączyła kolorowy koktajl przez rurkę. Milczała.

– Wiem, co możesz czuć, sama pakowałam się czasami w dziwaczne związki.

Z ciekawości chciałam się dowiedzieć, jak radzi sobie impotent. Ugryzłam się w język, nie chciałam mówić za

dużo. A jednak po chwili wypaliłam, że nigdy nie byłam ze starcem takim jak Filip.

– O, pewnie wcale nie jest gorszy od twojego Konrada, jeszcze byś się zdziwiła – odpowiedziała.

Próbowałam tłumaczyć, pokazywać różnice, ale ona tylko prychnęła.

– Obie wiemy, jak jest naprawdę, tylko ty nie chcesz o tym mówić. – Uśmiechnęła się wyrozumiale. – Nie widzisz, że jesteś dla niego lustrem, przed którym staje, by się przejrzeć?

– Konrad? Nie zrozumiesz, bo nie doświadczyłaś nigdy rozkoszy. – Byłam trochę zła, trochę rozśmieszona. – Wtedy naprawdę jesteśmy razem.

– Dla mnie to onanizm we dwoje, wolę już, że Filip mnie podziwia, a ja jestem obojętna, i wiesz co, jestem bardziej niezależna niż ty – podsumowała Fausta. – Mistycznej rozkoszy ty pewnie w ogóle nie zaznałaś, a ja owszem, tak.

– Twoja matka dawała ciała wielu za flaszkę, a ty jesteś wierna starcowi, który cię kupił – wyszczałam.

– Tym razem przesoliłaś! – Nagle wstała i wyszła z klubu, zostawiając mnie samą przy stoliku.

Miała rację, nie powinnam tego tak wprost powiedzieć. Po powrocie do domu kilka razy do niej telefonowałam, jednak nie odbierała. Zanosilo się więc na kolejne rozstanie, na parę cichych dni. Wysłałam wiadomość: „Masz rację przesoliłam wybac B”.

„Do jutra mi przejdzie F” – odpowiedziała. To znaczyło, że nie chce, bym sądziła, że jest śmiertelnie obrażona.

Fausta była chłodna, to Filip wymyślał perwersje, gdy widziała jego zamglone oczy, zamykała swoje. Na początku nie brzydziła się nim, był wyzwolicielem i mężem, któremu przysięgała przed Bogiem i świadkami wierność i miłość do grobowej deski, starała się wypełniać wszystkie obowiązki, zносиła miłosne zapędy ze stoickim spokojem, wiedząc, że Fil się zmęczy, opadnie na nią, a wtedy ciało odzyska wolność.

Nasza szczerłość nie posunęła się tak daleko, by mi powiedziała, czy miewa orgazm. Często naśmiewaliśmy się z kultu spazmów.

– Po silnym orgiastycznym wstrząsie potrzebuję odpoczynku, zawsze wolałam jeden duży nominał niż bilon – mówię, a Fausta tylko kręci głową.

Nie wierzy ani w jeden solidny spazm, ani w modne siedem orgazmów, wystrzelonych jak pociski z karabinu maszynowego.

– To, co mam z Filipem, nie jest nieprzyjemne, daje mi uczucie rozlewającej się po ciele słodyczy.

– Od tego jeden krok, gdybyś sobie pomogła pieszczołą...

– Przestań, Bogna, to obrzydliwe, nigdy się tam nie dotknę! – wstrząsnęła się ze wstrętem.

A jednak temat seksu powracał. Stąd wzięło się moje przekonanie, że gdy Fausta ostatecznie uwolni się od Filipa, wtedy znajdzie sobie kogoś, z kim będzie jej wreszcie dobrze. W miejscu, gdzie się spotykałyśmy – klubie podzielonym na pokoiki i boksy oddzielone parawanami – Fausta czuła się bezpieczna, bo obowiązywała tu żelazna

zasada nieprzysiadania się, nawet znajomi kłaniali się sobie z daleka, lecz siadali osobno z tym, z kim przyszli. W oddzielnych boksach można było coś zapalić, wciągnąć, my chodzimy tam na drinka, żadnych dragów, ani miękkich, ani twardych.

Kiedys spostrzegłam, że przygląda się pewnemu mężczyźnie. Gdy odwzajemnił spojrzenie, zaczęła zachowywać się jak uczennica, która udaje, że jest zajęta rozmową z koleżanką. W środku wciąż była dzieckiem.

Fausta jako dziewczynka nie bała się wychodzić z domu nocą. Gdy do matki przychodził absztyfikant, wymykała się po cichu, chodziła po zapyziałych ślepych uliczkach, śmierdzących moczem zaułkach, zwiedzała obce podwórka i zięjące chłodem piwnic bramy. Gdy czuła, że zbliża się niebezpieczeństwo, po prostu uciekała. Biegała bardzo szybko. Miała w szkole najlepsze wyniki w biegach. Dzięki temu często udawało jej się umknąć chłopakom.

Filip załatwił jej pozwolenie na broń, na małą, poręczną berette, która mieści się w torebce. Raz w miesiącu chodziła na strzelnicę policyjną. Filipa podniecało jej zainteresowanie bronią. Znał policjantów jeszcze z czasów, gdy byli milicjantami, zawsze miał z nimi jakieś interesy. Załatwił Fauście nauczyciela. Zabrała mnie kiedyś na policyjną strzelnicę. Antyterrorysta, nauczyciel strzelania, to był kawał mężczyzny. W czarnym stroju, krótko ostrzyżony, by nie można było chwycić go za włosy podczas akcji, z kwadratową szczęką, z mięśniami ramion

rozpychającymi krótkie rękawy czarnego podkoszulka, prezentował się filmowo. Dla Fausty jednak nie pachniał seksem, choć on pożerał ją wzrokiem. Ten banalny zwrot był bliski prawdy. Ubrana w elegancką spódnicę i jedwabną bluzkę, na nogach wysokie szpilki – nie uznawała strojów sportowych, nigdy nie widziałam jej w spodniach, T-shirtach czy butach na płaskim obcasie. Znałam z przeszłości spojrzenia, jakie słał w kierunku Fausty antyterrorysta. Kiedyś taki wzrok bywał przeznaczony dla mnie, teraz wyszłam poza krąg ulicznych pożądań. Miałam ich dość, nie rozpaczałam, że skończyło się gwizdanie na mój widok. Nie zazdrościłam Fauście, potrafiłam rozpoznać żądzę. Przyglądałam się uważnie, węszyłam, jednak romansu tu nie było. Na początku naszej znajomości byłam przekonana, że ma kochanka. Wyglądała na sytą kobietę.

Długa kiszkiowata piwnica; na ścianie zamykającej pomieszczenie umocowano trzy tarcze z sylwetką mężczyzny w czarnym kapeluszu. Fausta mierzyła i celowała krótko. Raz, dwa, trzy. Uszy zatkane, ze względu na odrzut, bo mogą popękać bębenki. Strzelała najpierw z ciężkiej broni, po kilku minutach łądowała swoją berettę. Namówiła mnie, żebym spróbowała. Po paru kiksach udało mi się wreszcie trafić wyrysowanego faceta w oko. Ona strzelała jak Leon Zawodowiec – serce, gardło, brzuch, kapelusz, głowa – naszpikowała czarną sylwetę trafieniami jak zająca słoniną.

– O czym myślisz, kiedy strzelasz? – spytałam, widząc, jak łąduje broń.

– Żeby trafić – odpowiedziała.

Miasto bywa nocą bardzo niebezpieczne, ale ona nie boi się, wychodzi późnym wieczorem i spaceruje po ulicach.

Gdy Filip leżał w szpitalu, wybierała się do niego na piechotę, bo uważała, że nic tak jak spacer nie poprawia kondycji. Wracała nocą. Nikt nigdy jej nie zaczepił. Samotna, z wyglądu bogata, atrakcyjna kobieta, idąca ulicą bez żadnej ochrony, łatwy łup dla młodych facetów w kapturach. Nigdy jednak nie miała przygody, ani razu nie wyjęła z torebki czy z kieszeni płaszczka swojej beretty. Może to kwestia szczęścia albo nie była po prostu typem ofiary, albo budziła respekt niczym powszechnie znana w dzielnicy żona mafiosa.

Zdarzało się Fauście wracać wieczorem z cmentarza. Chodziła na grób moich rodziców, zwykle w imieniny czy urodziny mojej matki. Już w połowie października przygotowywała groby na Wszystkich Świętych; modliła się wtedy za moją matkę albo raczej do mojej matki, bo traktowała ją jak świętą. Wszystkie kobiety zmykały z cmentarza przed zmierzchem, truchtały kłusem alejkami, zasapane stare wdowy, żeby broń boże nie dostać w głowę kijem bejsbolowym, nie stracić portfela, zdrowia albo i życia, żadna nie miała ochoty dołączyć do leżących pod ziemią ukochanych bliskich. Ona szła równym krokiem, z podniesioną głową, z markową torebką pod pachą, wdychając rześkie cmentarne powietrze.

– Tyle tu starych drzew, rosną lepiej niż w parku, mają dobrze użyźnioną glebę – zachwycała się.

Fausta była dzieckiem nocy i kobietą nocy, samotną, tajemniczą, samotną w ciemnościach. Zastanawiałam się, o czym myślała, leżąc obok Filipa. Dla mnie i dla Konrada noc była czasem miłości i czułości, rzadziej ostrej kłótni. Gdy on już zasnął, leżałam z otwartymi oczami, rozmyślając o minionym dniu, czasami o powieści. Takie noce zdarzały się jednak rzadko. Gdy było źle, boleśnie zranieni odwracaliśmy się do siebie plecami. Na ogół jednak sypiałam mocnym, zdrowym snem bez koszmarów, chyba że była pełnia.





# PÓLNOC

Księżyc w pełni jest słońcem nocy, Fausta wie, że to jedyne słońce, pod którym mogą się opalać kobiety po czterdziestce, dając blask, nie dając ciepła. Przesunęła podklejony filcem fotel pod drzwi balkonowe. Nie lubiła porysowanych parkietów. Rozsiadła się wygodnie, patrząc w niebo. Miasto dopiero teraz pozbyło się swoich dziennych zapachów, wreszcie ma chłodny, świeży oddech. Patrzyła prosto w pełną twarz księżyca, błyszczącą ponad łuną, nocną miejską tęczę. Gdy odwracała głowę w kierunku łóżka, miała na oku wybladły księżycowy profil Filipa. Połączyła tym samym przyjemne z pożytecznym: kocha księżyc i lubi na niego patrzeć, ale musi pilnować męża, czuwać przy nim, podać wodę, zwilżyć wargi, jeśli będzie potrzebował. Słyszy płytki oddech, przechodzący w chrapnięcie.

Zamknęła oczy i teraz drzemie z twarzą wystawioną do księżyca. Ogromna, owłosiona dłoń grozi jej palcem. Ocknęła się. To znak. Czas czuwania nie jest czasem drzemki, choć często w nią przechodzi, jak w kaplicy podczas nocnego czuwania przy Grobie Pańskim, dokąd co roku, razem z Filem, gdy jeszcze był zdrow, chodzili modlić się i pokutować za grzechy. Monotonna modlitwa ją usypiała. W kościele wszystko było wypełnione niemożliwą do pojęcia, choć znaną treścią: Jezus złożony

do grobu w piątek, w niedzielę z martwych powstaje. Jak dotąd zmartwychwstanie nie przytrafiło się nikomu innemu. Zdarza się, że nieboszczyk puka w trumnę, ostatnio czytała o czymś podobnym w gazecie codziennej, kobieta obudziła się w kostnicy, sama pomiędzy martwymi, nie było to jednak zmartwychwstanie, po prostu zła diagnoza, może letarg, błyskawicznie, zbyt pośpiesznie wystawiony akt zgonu, pozbycie się pacjentki ze szpitala. Powstanie z martwych nie zdarzy się Filipowi, gdy zamknie oczy na zawsze? To grzech, że czeka na jego śmierć jak na zbawienie? Nie, przecież nie czuje do niego nienawiści, mimo że to, co miało trwać najwyżej kilkanaście lat, ciągnęło się przez trzydzieści! Niedawno obchodzili okrągłą rocznicę. Boże mój! Jak to było dawno! Czas minął tak szybko, jakby mieścił się między jedną dłonią a drugą, kłaśniesz, i kilkadziesiąt lat minęło. Zaklaskała głośno kilka razy. Spojrzała na profil śpiącego. Nie poruszył się. Miała czas dla siebie.

Dwudziestego czwartego maja tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku piękna Helena, matka Fausty, powiedziała do niej:

– Idź za panem Filipem i nie oglądaj się za siebie.

Gdy Helena Lejmanowa kręciła z Filipem Fołtynowiczem swój luftgeszeft, wciąż powtarzała, że pan Filip jest mężczyzną w sile wieku. Nigdy nie użyła słowa „stary”. – Pan Filip jest głęboko religijnym, porządnym człowiekiem, takich ludzi jest dziś mało, zwłaszcza mężczyzn – westchnęła, mając pewnie na myśli tych, którzy do niej

przychodzili. – Jest naprawdę zamożny, znałam go wcześniej, jeszcze gdy żył tata, mieliśmy wspólnych znajomych – chwaliła się.

– Mmmhm, akurat twoi znajomi menele znają takich ludzi – wtrąciła Fausta.

– Uwierz mi, to nie oszust, pochodzi z ziemiańskiej rodziny, zaopiekuje się tobą, nie skrzywdzi cię, będziesz żyła jak księżniczka, jak pączek w maśle – matka na to.

– Hrabia, co psy ograbia, książę, co psy wiąże – naśmiewała się Fausta.

Wychwalając pana Filipa pod niebiosa, matka robiła jej pranie mózgu, zamiast zwykłego prania swojej poplamionej bielizny, rzucanej niedbale na podłogę.

– Ja nie mogę ci niczego zapewnić, sama widzisz, jak nam teraz ciężko...

Fausta chodziła do szkoły i wiedziała, że nikt nie jest bogaty, bieda wszędzie cicho skamlała, ale inne matki, także samotne wdowy albo panny mające na utrzymaniu nieślubne dziecko, jakoś sobie radziły, pracowały, prowadziły dom, choć zarabiały niewiele. Trzeba było nieźle naciągać dwa końce, by je ze sobą związać. Odwiedzała niekiedy koleżanki z klasy, mieszkania były biedne, lecz przez czyste okna było widać niebo, a wyjęte z szafki kubki nie lepiły się. Przede wszystkim jednak nie kręcili się tam wujkowie, owszem, zdarzał się jeden, wystarczał na parę lat, potem się zmywał albo był „niegodziwy”, dobierał się do córki, wtedy z pomocą braci, szwagrów i innych pociotków dawano mu nauczkę i won stąd, wyrzucano za drzwi. W tamtych domach wódka nie była na

okrągło w użyciu, choć mężczyźni oczywiście pili. Matki koleżanek „nie popijały”, jak swoje chłanie z mętami określała piękna Helena.

Ich matki były porządnymi, umęczonymi, półświętymi kobietami. Fausta marzyła o tym, żeby Helena umarła i jakaś porządna kobieta wzięła ją na wychowanie. Helena, która chłała i gardziła tymi siłaczkami, uważała się za kogoś lepszego. Fausta w końcu zrozumiała, do czego służą wujkowie, co mają między nogami. Kiedyś, gdy stanęły naprzeciw siebie, równego wzrostu, twarzą w twarz, wściekłe oczy, nosy z latającymi nozdrzami, ich usta krzyczały na tej samej wysokości.

– Inne matki harują od rana do nocy, chodzą do pracy, zarabiają na życie, nie kurwią się tak jak ty! – wrzeszczała Fausta.

Na to matka, już podchmielona, mimo że było dopiero południe, zaczęła krzyżeć głośniejsze niż córka:

– To są głupie baby! Nikt ich nie chce, myślisz, że zarabiać tyłkiem jest łatwo? To trzeba umieć! Woły roboty, niewolnice! Jeśli sądzisz, że pójde pracować do fabryki albo do jakiegoś biura, to się grubo mylisz, nie jestem stworzona do takiej roboty, jestem teraz na dnie, nie mogę się pozbierać po śmierci Ludwika, jeszcze się odbiję, zobaczysz...

Przez jakiś czas, gdy pan Filip Fołtynowicz przyjeżdżał regularnie co trzy tygodnie, a inni poszli w odstawkę, Fausta miała nadzieję, że on interesuje się matką, bo zawsze, gdy miał się pojawić, kąpała się, myła włosy, malowała i stroiła. Sprzątała nawet po łóbkach pokój. Dziewczynka

podśluchiwała pod drzwiami, uchylała je delikatnie, tak żeby nie słyszeli, ale oni nie leżeli w łóżku, nie wyprawiali brewerii z figurami, siedzieli spokojnie przy stole i rozmawiali cały czas szeptem, nie mogła usłyszeć, o co chodzi, ustalali jakieś terminy, spierali się, podglądała przez szparę w drzwiach, myśląc, że zacznie się wreszcie zwykła akcja, ale nic się nie zmieniało, wreszcie pan Filip wstawał, żegnał się i wychodził.

– Dlaczego nie machniesz się za pana Filipa? – spytała Fausta.

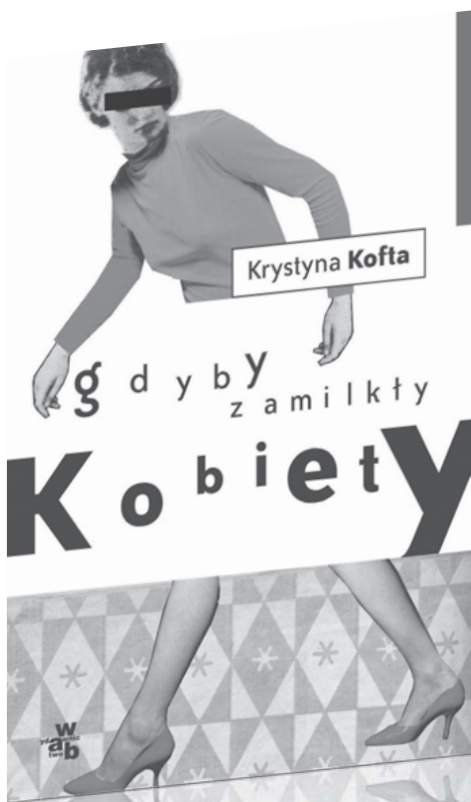
– Ja? Gdyby tylko chciał, to bardzo chętnie, ale on mnie nie chce, jest starym kawalerem i chce mieć żonę dziewicę, a ja, cokolwiek by mówić, dziewicą nie jestem. – Matka śmiała się głośno sama z siebie. To były rzadkie momenty, kiedy Fausta ją lubiła. Starła się sprzątać po matce, prała jej bieliznę i układała w szafce, ale to na nic się nie zdało. Pijane tornado za każdym razem pozostawiało chaos. Wszystko można robić, nawet się kurwić – myślała Fausta – ale trzeba mieć klasę, a matka klasy nie miała. Współczuła jej, że w krótkim czasie, jaki minął od śmierci ojca, straciła wysoką pozycję żony inżyniera, dobrej matki, a tamten dawny, wspólny dom stał się nagle minioną baśnią o szczęściu.

– Jesteś kurwą z urodzenia i charakteru – takie obelgi usłyszała podczas kłótni matki z ojcem. Mówił tak, mimo że kochał Helenę i ożenił się z nią. Taka była prawda o ich miłości.

Kiedy matka była młodsza, Fausta nazywała ją dziwką – według niej nie było starych dziwek, stare były kurwy.

# SPIS RZECZY

ZMROK	5
ŚWIT	9
PÓŁNOC	31
PORANEK	55
PÓŁMROK	77
WIECZÓR	115
ZORZA PORANNA	129
ZORZA WIECZORNA	161
RANO	171
MROK	203
PÓŻNY WIECZÓR	229
ZMIERZCH	243
PRZEDPOŁUDNIE	283
POPOŁUDNIE	331
PRZED ZMROKIEM	361
WCZESNY RANEK	383
NOC	399
SAMO POŁUDNIE	411



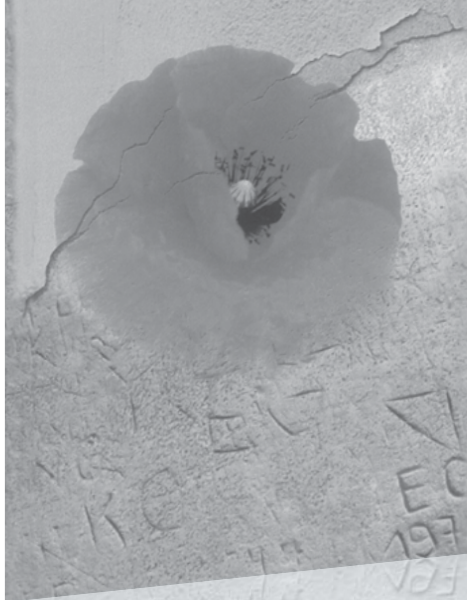
Głównym tematem tego zbioru esejów jest relacja między kobietą a mężczyzną: odwieczna asymetria tego układu, problemy z porozumieniem, sposoby umacniania istniejącej więzi i grożące jej niebezpieczeństwa. Czy ciężar podtrzymywania związku musi spoczywać na kobiecie? Czy źródłem konfliktu mogą być wcześniejsze relacje między matką a synem? I co najważniejsze, czy warunki tego damsko -męskiego układu są czymś nienaruszalnym? Próbując odpowiedzieć na te pytania, autorka korzysta z przykładów z życia, sięga także do wielkich dzieł literatury, klasycznych prac psychologicznych i filozoficznych.



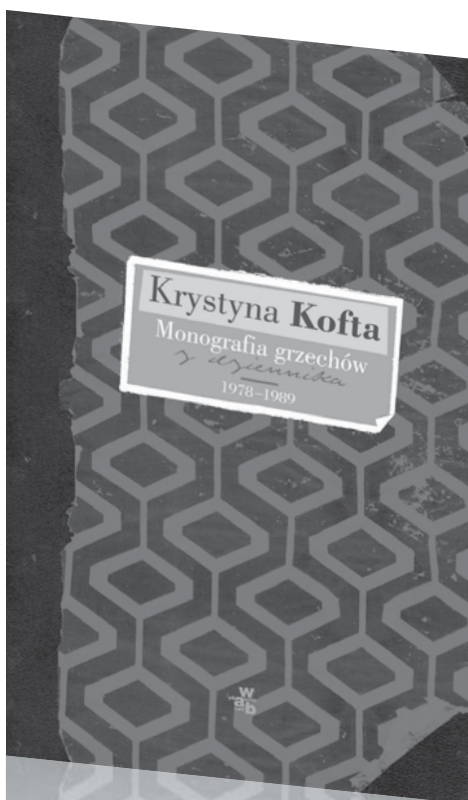
Książka jest fragmentem dziennika prowadzonego przez autorkę od przeszło trzydziestu lat, opisującym szczęśliwie zakończone zmagania z rakiem piersi. To przede wszystkim opowieść o uczeniu się na nowo siebie i swojego życia. Krystyna Kofta pisze o tym, jak mimo cierpienia zmusić się do aktywności, jak nie podać się bólowi i depresji, jak zdobyć się na dystans, a nawet poczucie humoru. Książka jest nie tylko ostrzeżeniem, jest także zapisem wewnętrznej przemiany – zmiany hierarchii wartości, relacji z ludźmi, stosunku do własnego życia.



Krystyna KOFTA  
ZŁODZIEJKA  
PAMIĘCI



Bogna Wegner – główna bohaterka i narratorka powieści, jest outsiderką. Kolekcjonuje wspomnienia własne i cudze, zdarzenia całkiem realne i metafizyczne, złe i dobre mity z dzieciństwa. Wobec podpatrywanego świata zachowuje dystans, który wówczas, gdy sama staje się jedną z osób dramatu, zamienia się w nie pozbawioną szczerości autoironię. Tak dzieje się, gdy Bogna wikła się w nieważny romans z młodszym od siebie mężczyzną...



*Monografia grzechów* to osobiste, notowane na gorąco dzienniki pisarki z lat 1978–1989. Książka jest obrazem pełnej ogromnej energii osobowości, mającej w sobie siłę przetrwania, ale i siłę tworzenia, chronienia bliskich, broniącej swojej niezależności osobistej i artystycznej. Obserwujemy rozwój pisarki i dojrzewanie kobiety, której mimo wszystko udało się zachować wierność sobie, stworzyć dom, świadomie kształtować własne życie i czerpać z niego radość.





Książki oraz bezpłatny katalog Wydawnictwa W.A.B.  
można zamówić pod adresem:  
02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5,  
oraz pod telefonem 0 801 989 870  
[handlowy@wab.com.pl](mailto:handlowy@wab.com.pl)  
[www.wab.com.pl](http://www.wab.com.pl)

Redaktor prowadzący: Dariusz Sośnicki  
Redakcja: Beata Frankowska  
Korekta: Donata Lam, Magdalena Stajewska  
Redakcja techniczna: Anna Gajewska

Projekt graficzny i typografia:  
Sylwia Grządzka i Jacek Szewczyk  
Fotografia wykorzystana na I stronie okładki:  
© Petrina Hicks/Stone+/Getty Images/Flash Press Media  
Fotografia autorki: © Wawrzyniec Kofta

Wydawnictwo W.A.B.  
02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5  
tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11  
wab@wab.com.pl  
www.wab.com.pl

Skład i łamanie: Pracownia Kroju i Szycia PEKAESZ

Druk i oprawa: Białostockie Zakłady Graficzne S.A.  
ISBN 978-83-7414-573-2



## Kuście Kofka

Piękna Helena Lejman, wdowa po Ludwiku Lejmanie, oddaje za pieniądze swoją czternastoletnią córkę Faustę starszemu o czterdzieści lat Filipowi Fołynowiczowi. Ten na dwa lata posyła dziewczynkę do szkoły klasztornej, by potem wziąć ją ślub – w kościele. Małonkowie żyją zgodnie do śmierci pana Filipa. Śmierci długo przez Faustę wyczekiwanej.

Kim jest bohaterka powieści? Faustowską Małgorzatą, ofiarą pożądania starego mężczyzny? A może współczesną wersją Fausta filozofa, tajemniczą kobietą, która nie zawaha się przed niczym, by zacząć życie od początku?

Historię tę dopeniają dzieje trudnej miłości i wielkiej przyjaźni dwóch kobiet – Fausty i śledzącej jej losy pisarki Bogny.

Patronat medialny:

**Charaktery**  
Magazyn o psychologii

**ByeKobieta.pl**  
Konkursy • Forum • Portal

**TVP 2**

**poradnik**  
DOMOWY

**DIACZEGO**  
www.diaczego.com.pl

**INTERIA.PL**  
www.kofta.interia.pl

WWW.WAB.COM.PL

9 78-83-7414-573-2



9 788374 145732

Cena 49,90 zł

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).**

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).